№ 19.

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
*Rej z Nagłowic.*

ROK 1844. Poznań, dnia 11. Września.

*DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Już to religia nakazuje człowiekowi być pracowitym i z niéj wiemy, że człowiek każdy na swój chleb w pocie czoła zapracować powinien. Rozbierają pracę jako obowiązek człowieka systemata moralne i etyczne; pracę nakazuje człowiekowi jego organizm fizyczny, gdyż przez pracę wzmacnia się i utrzymuje ciało, ale najgłówniéj nakazuje człowiekowi pracować należyte wyobrażenie o społeczności. Ziemia pierwotna przed czasami tak zwanémi cywilizowanémi, nie była ani ubogą, ani bogatą. Karmiła ona człowieka tak, jak matka karmi swe dziecko; ale też musiał się ograniczać na jednym rodzaju pożywienia i żył owocami, które bezpośrednio zrywał z drzewa, i które przez zimę nieprzechodzą tak w zepsucie, aby pożywnémi być niemogły.

W pierwotnych czasach rodzaj ludzki mógł też istnieć i utrzymywać się tylko w tych szczęśliwych strefach, w których pory roku ciepłe dłużéj trwają. Jedynie tylko przemysłem i pracą mógł człowiek ośmielić się na walkę z przyrodzeniem i zająć stanowisko w stronach, w których na pewną część roku stan powietrza wstrzymuje wegetacyą. Zamieszkiwanie stref zimniejszych jest zatém skutkiem tylko pracy i zależy na przechowywaniu tego przez drugą połowę roku, na co człowiek może zapracować w pierwszéj.

Dopokąd potrzeby człowieka kończyły się na wyżywieniu jako fizycznym celu, tak długo można powiedzieć, że ludziom krajów cieplejszych wolno było próżnować, lecz jak potrzeby wzrosły i kraje ciepłe potrzebują produktów, które tylko w krajach zimniejszych się udają, jak ludność została tak znaczną, iż dziką produkcyą trzeba było powiększać dla utrzymania całéj ludności przy życiu, natenczas obowiązek pracy rozszerzył się przez wszystkie strefy. Przyszło więc do tego, że każdy kraj musiał pracować, atoli w krajach pojedyńcze osoby usunęły się znowu od pracy w ten sposób, że jedna część narodu opanowała drugą, zrobiła ją swymi niewolnikami i żyła z pracy nie swojéj. To życie kosztem ludzi pracujących, stało tylko na téj zasadzie, że jeden człowiek może być przez drugiego na ciężką pracę wskazany, dla tego, aby pracował na wyżywienie, a nawet i na zbytki drugiego. Dzikie gruszki, orzechy, grzyby i tym podobne produkta, które ziemia bez uprawy wydaje, dzisiaj niesą zwykłém wyżywieniem człowieka, ale każdy używa na pokarm rzeczy, które potrzebują starania, zachodów i w ogóle pracy. Nie cały rodzaj ludzki jest przeznaczony na przygotowanie samych tylko pokarmów, ale drudzy obmyślają ubranie, inni łatwy sposób przenoszenia się z miejsca na miejsce, inni oświatę, inni mianowicie przez piękne sztuki podnoszenie umysłu człowieka, inni przyrządzanie zabaw i rozrywek. Zgoła ludzie obrali sobie rodzaje pracy i te wymieniają tak pomiędzy sobą, iż każdy za swą pracę, któréj więcéj odbędzie, jak wymaga jego osobista potrzeba, dostać może owoców pracy drugiego o ile ich znowu potrzebuje. Z tego oczywisty mamy wniosek, że człowiek każdy ma prawo o tyle tylko do zaspokojenia wszystkich swoich potrzeb, o ile oddaje coś ludziom nawzajem. Ludzie zatém mający bez pracy dochody, są tylko spożywającymi, zjadającymi cudzą pracę. Kto się odwołuje, że z przodków ma majątek, ten posiada tylko to, co poprzednicy zapracowali, ale

zawsze robi szkodę spółczesnym, bo spożywa ich produkcyą, ich pracę, a nic im na zamian nie daje. Ludzie zatém, którzy nic nie robią, zawsze w społeczeństwie do jednéj klassy co i żebracy liczeni być powinni. Żebraków atoli z kalectwa, z choroby i wszelkich niezdolności usprawiedliwia ich fizyczność, ludzie zaś zdrowi a próżnujący, bez wyjątku, ubodzy czy bogaci, na wzgardę zasługują, i ztąd przy wychowaniu młodzieży przedewszystkiém na to baczyć wypada, aby ją do pracowitości przyzwyczaić.

---

## Katarzyna Kossakowska,

### *kasztelanowa kamińska.*

PRZEZ

**LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.**

Zawsze prawie przy schyłku jakiéj epoki, na kończynie wyobrażeń, które swe powołanie odbyły, śród gaśnięcia pokoleń i ras, które się, jak wszelkie ziarno, zwodzą — występują jakieś olbrzymie typy, jakieś żyjące tradycye, niby ogniwa mające wiązać przeszłość z rozwijającą się przyszłością. Niezdaje mi się, aby to natura sadziła się na wydanie takich ludzi — prędzéj okoliczności, stosunek do społeczeństwa, silne obstawanie przy swojém, a najbardziéj ten urok poezyi, jaki się przywięzuje do wszystkiego co przeszło, co nieżyje, co skonało. Typy takowe cofnione od swego świata — zamięszałyby się w ogólnym steku, i rzadko który wyskoczyłby z jednostajnego tła, chyba jeniusz w swoim rodzaju; przeniesione zaś między spółeczność albo rozwijającą się na innych zasadach, albo odbiegającą swéj narodowości, albo zdziecinniałą i zmiękczoną, nabierają oryginalności, zaraz się odstrychują językiem, strojem, obyczajem, wiarą, nałogami i wszystkiém. Donkiszot, ta fikcya szydercza na wywrócenie średniowiekowego spirytualizmu, czémże jest, jeśli nie ostatnim zabytkiem rycerzy błędnych i kochających — jak Bayard, w świecie rzeczywistym, rycerskiego honoru i odwagi? A u nasże, taki Micieszko kasztelan mścisławski, śród włoszczyzny sprowadzonéj przez Bonę, śród nacisku odmian gnieżdżącéj się reformacyi, niewidziż się obcym? nieżałujeż i swego pietucha, co lepiéj czas wskazywał, niż zegar zamorczyk, i swojéj soroczki do kostek, i złotéj prawdy, którą mawiano? Od konfederacyi, kiedy szlachecka Polska zaczęła powoli wciągać w siebie nowe żywioły, kilka postaci ogromnych, dłótem wykutych szorstko i grubo, podobnych do brył granitowych, które jakiś odwieczny potop oderwał od gór i pozanosił na równiny, kilka takich postaci, mówię, nito żywa historya, pojawiło się śród plemienia młodego, co na łeb na szyję zrzucało kontusze i konfederatki, a z niémi, język, wiarę, obyczaje i ciężkie kordy — jakby niedość było obcéj przemocy do naszego wynarodowienia. A tymczasem Karól Radziwiłł na tym schyłku szlacheckiéj republiki, na tle nowych wyobrażeń, postępu, zboczeń, malenia, pokazuje się w całéj spaniałości jednocząc w sobie, jakoby w jakim ideale, starą przodków hojność i gościnność, z tyranią i dumą, gotowość do największych poświęceń dla sprawy publicznéj, z niedostatkiem rozumu politycznego i brakiem wytrwania, popularność sejmikową i równość przy kielichu, z pogwałceniem praw boskich i ludzkich i z unoszącą się nad tém wszystkiém bojaźnią Boga i spowiednika, który skrupułami sumienia: „moc bezrozumną na uwięzi trzyma.“ W Radziwille przechowała się jeszcze lepsza, godniejsza strona cząstki wyobrażającéj przez tyle wieków naród, lecz w drugiéj figurze, niemniéj poetycznéj, jeszcze nawet więcéj popularnéj, skupiły się narowy i zbrodnie upadającego stanu — mówię tu o staroście kaniowskim. Przychodzi mi tu dziwna uwaga, iż wielcy tyrani, wielcy krwi szafarze, lubią zadawać się z gminem, co więcéj przybierają jego strój, sposoby mówienia, dobroduszność nawet. Ludwik XI. kuma się z całym światem, golibrodę robi pierwszym ministrem, po kabaretach w szklanki się trąca z chłopami. Mikołaj Potocki luboć z innych względów nieprzypada pierwszemu do miary, zresztą pan z najzamożniejszych w koronie, przybiera strój, sposób mówienia, maniery prostego kozaka, rej wodzi na jarmarkach i praźnikach, z chłopstwem zalewa się gorzałką, kuma i swata — ale, gdy w pałkę naleje, a dzika chuć w piersiach zagra, baranek pokazuje pazury, przydworna wpada czereda, i na biedaku drzy skóra, że się z panem zadawał — o i ma czego zadrzeć! pan kaniowski nieznа hamulca swoim passyom — króla się nieboi — prawo kupi — jeden tylko sąd wieczny co go trwoży, i patrzcie! w żalu za grzechy nabudował kościołów, uposażył fundacyami klasztory i po sześciu wiekach jeszcze tak samo rozumie pokutę, jak ów Dunin, który 72 kościoły na Pomorzu wystawił.

W charakterach tych figur, w rysach ich, cnotach i zbrodniach jest coś uderzającego niepospolitym rozmiarem, wpatrzenie się w ludzi, których jeszcze ojcowie nasi widzieli i znali, zwraca myśl na nas samych — plemie porończe o słabém ciele, rysach zmięk-

czonych cnotach sofizmatycznych i zbrodniach z krwią zimną. Pojąwszy przeznaczenie nasze odrodzenia się przez zlanie z ludem, powinniśmy, jak ten co dom walący się opuszcza, wynieść z niego wszystkie kosztowności, a śmiecie i pająki zostawić w pustkowiu; powinniśmy uczuciem poezyjném wynieść wszystko wielkie i spaniałe z życia przodków. Dla tegom, z niemałym trudem porwał się narysować wam, że tak rzekę, ostatnią matronę staropolską, Katarzynę Kossakowską i popularną jak Radziwiłł, jak Kaniowski, ale popularną z cnót domowych i publicznych, z patryotyzmu i wielkiego dowcipu; rysunek ten składałem po większéj części z własnych jéj listów, malujących najlepiéj jéj zasady, sposób widzenia, uczucia i postępki, z mnóstwa dowcipnych anegdot przechowujących się w pamięci naszéj.

---

Katarzyna Kossakowska urodziła się około roku 1720. i któregoś; tak wnoszę z tego, co mówi w jednym z listów swoich pisanym pod datą 1797. roku: „Już to czas minął, żeby ludzie, którzy mają po lat 70 i kilka, mieli kredyt u młodych i t. d," a w drugim znowu liście pod r. 1796: „Ja zaś na te mrozy niewyłażę, bo 70 razy i cztery obchodząc kościoły, już teraz niemożna." Była ona drugą córką Jerzego na Podhajcach Potockiego, starosty grabowieckiego i tłumackiego z drugiéj żony, Konstancyi Podbereskiéj marszałkówny upitskiéj. Prócz tego rodowodu, niemógłem zasięgnąć żadnych szczegółów z młodych lat téj pani. Ile wnoszę z ryciny wyobrażającéj ją w wieku podeszłym, musiała mieć postać okazałą; czoło równe i wyniosłe, znamionowało rozległe pojęcie, oczy żywe, ciemne, z brwią wysoką i zaokrągloną, dowcip i przenikliwość, płeć zapewne odznaczała się delikatną białością, jak oto pomawia gors wyłoniony z sukni obszytéj koronką, i tylko lekko obrzucony od strony, pleców mantolecikim czy peleryną. A usta, owe pół zwierciadła duszy, którego druga połowa w oczach się mieści, wyrażały uśmiech dobroci i wspaniałości, a oraz w dwóch mocnych kątowych zarysach stałość charakteru i surową godność. Taki jest mniéj więcéj obraz Katarzyny — o tyle podobny o ile można, nieznając kogoś, opisać; dokładniejszy, więcéj zbliżony prawdą, chciałbym złożyć z jéj przymiotów, postępków i myśli.

Katarzyna, dość młodo, bo jeszcze za panowania Augusta IIIgo, weszła w związek ślubny z Kossakowskim kasztelanem kamińskim. Podług krążących anegdot, miał to być pan wielce małego wzrostu, ale czupurny i śmiały. W ciągu zalecań się o jéj rękę, bądź panna, bądź ktoś inny żartował sobie z niego, nazywając Łokietkiem, a przytém napomykając coś o niedobranéj parze, (Katarzyna bowiem mocno przechodziła go wzrostem), markotne mu były te przymówki; aż jednego razu, gdy przychodziło do zaręczyn, Kossakowski sam dał hasło swéj narzeczonéj, mówiąc: zmierzmy się kto słuszniejszy! — i mrugnął na swego pokojowca; ten natychmiast wniósł ogromny wór złota, na którym gdy Kossakowski stanął, wyrównał pannie. Zresztą, był to mąż prawy i kochający ojczyznę; w konfederacyi barskiéj czynny miał udział; nienależy go téż mięszać z innymi tego nazwiska, którzy się późniéj tak haniebnie splamili.

Katarzyna prędko go straciła — najstarsi, co ją pamiętają, zawsze znali ją w stanie wdowieńskim, od czasu jego śmierci, aż do swojéj własnéj; nigdy, obyczajem starych naszych matron, nie zdejmowała czarnych żałobnych sukien. Wszystko było u niéj trwałe, przywiązanie, pamięć, smutek.

Rozbierając charakter Polek na cząstki składowe, natrafiamy na przeważną siłę, która je zawsze pociąga do życia politycznego, ale nie takiego, na jakie puszczają się kobiety cudzoziemskie, wyćwiczone albo w intrygach dyplomatycznych, albo piękność swoją poświęcające jakiemu stronnictwu, albo wreszcie dla błyszczenia w świecie, dla popisania się z dowcipem, otwierające salony z ogromną expensą herbaty i światła. Katarzyna żyła życiem politycznem w całéj rozciągłości, jeżeli polityką godzi się nazwać: zlanie swéj istoty z losami narodu; poświęcanie fortuny w chwilach nagłych potrzeb; podawanie ręki nieszczęśliwym ofiarom, które dosięga prześladowanie? W czasie konfederacyi barskiéj, złączyła się z partyą przeciwną królowi, którego nienawidziła dla obczyzny, jaką wprowadzał i dla niemoralności i zniewieściałości charakteru. Kitowicz powiada: że przez nią rozszedł się komeraż puszczony przez Repnina, jakoby gabinet petersburski niebył kontent z Stanisława Augusta i zamierzał go detronizować, baba, aczkolwiek jak ją nazywa: w i e l k a m ą d r o c h a, dała się przecież w pole wyprowadzić! I niedziw, prosta, staropolska dusza nieznała się na wszystkich sztukach przewrotnéj dyplomacyi. Późniéj, w czasie sejmu czteroletniego i ogłoszenia konstytucyi 3. Maja, pogodziła się była z królem. O jéj uczuciach świadczyły rymy na cześć monarchy i konstytucyi, jaśniejące w przezroczu na bramie jéj pałacu w Warszawie. Jest téż i anegdota, iż w dniu ogłoszenia téj ustawy, któl przysłał do niéj z zaprosinami na bal, który wyprawiał na uczczenie święta narodowego. Lecz ból oczu jaki wtedy cierpiała, niepozwolił jéj przyjąć wezwania. Powiedzcie królowi, mówiła, że

w dniu takim jak dzisiejszy, radabym z całego serca popatrzyć nań dobrémi oczami, ale sami widzicie, że musiałabym złémi, dla tego też niepojadę. Inną razą, w czasie swéj bytności u króla, jakby przewidując, że złe rady, że brak samodzielnéj siły charakteru w naczelniku narodu, miały w chwili najważniejszéj zwichnąć szlachetne postanowienie i skłonić ku nieprzyjaciołom ojczyzny, napominała go témi słowy: wszystko pójdzie dobrze najjaśniejszy panie, tylko W. K. M. przestań chodzić w spódnicy. I ziściła się jéj obawa, bo kiedy wszystkie dobrze myślące głowy, kiedy naród cały wołał na króla, aby wyjeżdżał do obozu, w którym mogło się było sto tysięcy wojska zgromadzić, wyjechał, ale się wrócił z Pragi, bo pani Grabowska i inne faworytki napełniały go trwogą, iż drogie zdrowie na szwank naraża. Gdzie tylko więc trafiała się sposobność przycięcia słabemu Stanisławowi, nigdy jéj niemijała Kossakowska. Była to prawdziwa oppozycya ducha narodowego, męzkości i energii, surowéj cnoty i religijności przeciw zniewieściałości, niedołęstwu, francuzkim manierom, zepsuciu obyczajów i libertyzmowi. Dowcip jéj nieprzebaczał, nawet kiedy jakiś urok poetycznego nieszczęścia otaczał osobę Stanisława; i tak z powodu porwania go przez konfederatów, kiedy się cała Warszawa nad nim rozczulała, kiedy poeci dworscy pisali czułe elegije i sielanki, ona w pewném zgromadzeniu mówiła do pana De Tilly dworzanina królewskiego: I aspaństwo myślicie, że ktoś tam porwał króla i chciał go zabić? kłamstwo to, uczciwszy uszy, wierutne kłamstwo! Jać to wiem najlepiéj jak się stało: Staś dowiedział się, że na Marymoncie mieszka ładna młynarka, chciał stroić do niéj koperczaki, ale trafił na poczciwą żonę, i wałkiem w łeb dostał.

Nieszczęścia ojczyzny, na jakie patrzała w r. 1794. napełniły ją głębokim smutkiem; od tego czasu podobnoć już nigdy niejeździła do Warszawy, tylko mieszkała w Galicyi, gdzie miała niezmierne dobra i większą część familii. Istota tak gorąco kochająca ojczyznę, z taką radością witająca nadzieję niepodległego bytu w pierwszych tryumfach Kościuszki, jakżeż boleśnie musiała być dotkniętą po katastrofie maciejowickiéj! Ból ten, wyrażała energicznie w listach pisanych do swego siostrzana X. Pawła Potockiego Scholastyka łuckiego; ale rodzaj tego cierpienia niemalował się ani w próżnych skargach i żalach; był to raczéj groźny wyraz lwicy, któréj dzieci wydarto.

W jedném miejscu, bez ogródki dowcipuje z pana starosty Piaseczyńskiego, iż się zamknął jak mnich w pustych pokojach, nikogo na oczy widzieć niechce, i tylko oczekuje katastrofy, mającéj ten porządek odmienić na lepsze. W skutek krajowych wydarzeń, wielka część jéj rodziny rozproszyła się: jedni żyli we Florencyi i Rzymie, drudzy w Wenecyi, inni w Paryżu. Ona zostawszy, to ratowała ich majątki, to administrowała, to nakoniec dosyłała im z własnéj szkatuły. Wszystkie korrespondencye szły na jéj ręce — musiała po kilkanaście listów na dzień dyktować, (sama bowiem niepisywała) w różnych interesach zdawać sprawę, pamiętać o najdrobniejszym szczególe. Uciążliwa ta praca, przechodząca jéj wiek podeszły, dawała się nieraz jéj uczuć, bo często w listach swych narzeka: jać to jestem familii mojéj pocztmajstrem; bez litości kładą na mnie tyle różnych przeróżnych obowiązków. A jednakże bez liku przyjmowała je na siebie. Mieszkając we Lwowie w pałacu pod S. Jurem, zawsze miewała u siebie kogoś z wnuków, lub krewnych; zdaje się wszakże, że pilność w wychowaniu tych młodych osób musiała być wielka, wprawdzie mniéj zasadzona na wlewaniu w umysł mnóstwa błyskotnych naukowych fraszek, a więcéj na wpojeniu zasad religii i moralności, i wdrożeniu do téj nauki życia, jakiéj się w szkole doświadczenia tylko nabywa. Z tego powodu przypominam sobie, co pisze w jednym z listów: Młodzież teraz zamykają i tuczą naukami jak jędyki albo kapłony; w końcu umieją wiele, a nieumieją tego zastósować do życia. Niema to jak młodego zawczasu z światem oswajac, ucząc go praktycznie na dobrego obywatela; bo to mi pierwsza nauka jak się obejść z sąsiadem, jak służyć ojczyznie, jak występować godnie w każdéj publice. Tego wszystkiego nasi ochmistrze niewiedzą; niegdyś szkołą były dwory wielkich panów, dziś wszystko drobnieje i majątki i cnoty. Często w ten sposób narzeka dostojna matrona; ależ nie wina w tém, ani starości, ani nałogu zrzędzenia; wina tylko społeczeństwa, które mianowicie na schyłku 18. stólecia gwałtownemi krokami posuwało się ku reformie i wyobrażeń i obyczajów. Ona widząc walącą się społeczną budowę dawnego polskiego świata, wołała często: młodzi nas już nierozumieją, zastarzyśmy dla nich! I zapewne, że młode plemie, któremu grały w uszach szały rewolucyjne Francyi, mąciła głowę i serce przecząca wszystkiemu filozofia, a świeży upadek kraju napełniał rozpaczą i goryczą, niemogło ją rozumieć z jéj staropolską prostotą, nienawidzącą płonnych zbytków i wymysłów modnych, z jéj pobożnością tak daleką od bigoteryi, bo zamkniętą w miłosiernych uczynkach i religijnych praktykach; z jéj spokojną rezygnacyą, która na chwilę nieodejmowała jéj wiary w bliskie zbawienie; z jéj głębokiém nakoniec pojmowaniem obowiązków chrześciańskich i obywatelskich.

Jednakże mimo, że każdy krajowy wypadek, każde prywatne nawet nieszczęście, znachodzi to współczucie w jéj duszy, dobra Opatrzność, jakby chcąc ją ubespieczyć przeciw tylu dotkliwym ciosom, na jakie narażona była w długim swym żywocie, udzieliła jéj obfitą cząstkę tego dobrego humoru, co okraszony dowcipem, towarzyszył jéj nawet w najkrytyczniejszych położeniach, a zawsze prawie był na doręczu, kiedy mogła dać uczuć światu krzywdę swego narodu. Znam tylko jeden dowcip Żółkowskiego, który może iść w równe z dowcipem Kossakowskiéj, stosuję to do téj trafności w odpowiedziach, pochwytywanych natychmiast przez publiczność, i powtarzanych przez nią, jakoby wyraz powszechnego sposobu myślenia. Obie te figury: ostatnia polska matrona i ostatni aktor polski — zaniosły z sobą do grobu rubaszny ów dowcip ojców naszych, niezastąpiony niczém, niepodobny do naśladowania, jak niepopobna, aby wskrzesić spółeczność, z któréj wypłynął. Dla tego też pamięć jaka pozostała po Kossakowskiéj, przechowuje się głównie w anegdotach opowiadanych o niéj i na jéj karb zmyślanych, bo trzeba wiedzieć, że skoro naród obierze sobie za typ jaką ze swoich figur, tedy wszystko, co w tym duchu mimowolnie stworzy, pod jéj firmę podsuwa. Ileż to niezmyślono bajek na karb Radziwiłła i Kaniowskiego, a ile dowcipów na imie Kossakowskiéj i Żółkowskiego.

*(Dokończenie nastąpi.)*

---

## Szamil dowódzca Czerkiesów.

Któż nie słyszał o Szamilu, tym dzielnym wojowniku na Kaukazie, w którego piersi tak potężny ogień płonie ku ziemi rodzinnéj, iż przy nim tysiące innych serc się zapala i objawia taką siłę, że jeden śmiało zwycięża dziesięciu przeciwników. Lecz prawda — ten broni swéj wolności, a drugi ją wydziera.

Przed rozpoczęciem boju, każdy naczelnik pokolenia zwołuje mężów, niewiasty i dzieci, w ich obecności święci kule, które pomiędzy wojowników rozdaje, z tém błogosławieństwem: żeby z nich każda utkwiła w serce nieprzyjaciela. Ściśle ten rozkaz spełniają, bo prawie żadna kula czerkieska nie bywa puszczona na wiatr. Rzadki też przykład, żeby który z wojowników zdradził sprawę ogólną, brakiem odwagi lub przeniewierstwem, gdyż wtenczas nietylko jemu, lecz biada całemu pokoleniu. Wszyscy bez wyjątku aż do niemowlęcia, wykluczeni zostają z wielkiéj rodziny Czerkiesów, idą w tułaczkę — a nigdzie nie znajdą dachu ani posilenia, wszędzie odepchnięci ze wzgardą. A biegając ze skały na skałę, z wąwozu w wąwóz, giną nakoniec z trosk i niedostatku. Wprawdzie zdaje się ta kara okropna i niesprawiedliwa; lecz nikt jéj nie narzucał, pomyślana i przyjęta dowolnie przez lud — snać snadniéj im wśród swoich umierać z pogardy i nędzy, niż żeby jeden z nich, nie ukochał nad wszystko wolności.

Było to 1829. r.; po odbytéj walce z naturą i nieprzyjacielem, opanowali Rossyanie wąwoz. Tam leżał przeszyty dwudziestu kulami Kasi-Mula, postrach Kaukazu — Rossyanie okrzyk tryumfu wydali, ale zawcześnie. Obok poległego wojownika, leżał ranny czternastoletni chłopczyna, tego Rossyanie zabrali — był to Szamil.

Odesłano go natychmiast do Petersburga i umieszczono na wychowanie w szlacheckim pułku. Młodzieniec okazywał nadzwyczajne zdolności umysłowe i w parę lat, kiedy już został oficerem poszedł na wyprawę kaukazką. W kilku utarczkach bił się w przedniéj straży rossyjskiéj, aż nakoniec zniknął. Od tego dnia Rossyanie jeszcze większych klęsk doznawali, nieprzyjaciel umiał korzystać z każdego ich błędu — aż w końcu dochodzi do ich uszu imie Szamila, i wtedy to spostrzegli dopiero, jakiego wychowali mściciela. Szamil chwytał się wszystkich sposobów do zemsty nad wrogiem, fanatyzmu, podstępu, gwałtu, przekupstwa, bo czuł, że gdzie cały lud się poświęca dla odepchnięcia jarzma, tam każdy sposób staje się szlachetnym.

Zastępy Czerkiesów zaczęły się powiększać z każdym dniem, uformowali korpus 4000czny na sposób europejski, składający się po części z Polaków, Francuzów, a nawet i Moskali.

W postępowaniu Czerkiesów, pokazuje się charakter średniowiecznych rycerzy, jak to w następującém zdarzeniu opowiemy. Oficer rossyjski był wysłany na czele oddziału z 500 ludzi do sprowadzenia z gór żywności dla koni; lecz ledwie kilkanaście wiorst od głównego korpusu się oddalił, kiedy już został przez Czerkiesów napadniętym. Oficer pobladł, zaczął się chwiać na koniu, bo uczuł silną ranę w ręku, aż naraz stanął przed nim piękny nieprzyjacielski jeździec i zawołał:

— Niepoznajesz mię?

— Toś ty Szamilu! odpowiedział Rossyanin, poznając swego dawnego towarzysza. Bój się przerwał i obadwaj dowódzcy uścisnęli się braterskim pocałunkiem.

— Kocham pojedyńczych Rossyan: rzekł Szamil, ale nienawidzę ciemięzców i walczę przeciw nim.

— Ale jakżeś śmiał twoją broń podnieść przeciw carowi? odrzekł Rossyanin.

— Tutaj nie lękam się jego siły, — odrzekł z uśmiechem drugi.

— Wierzysz w większą potęgę, niż ją macie. Pamiętaj, że i dla ciebie nadejdzie dzień Kasi-Mula.

— Jego koniec był pełen chwały, twoje słowa niech mi staną za życzenia, odrzekł Czerkies spokojnie.

Oficer nawykły do ślepéj powinności chciał znów bój rozpocząć, lecz Szamil żądał, żeby pierwéj pozwolił sobie opatrzyć rany. Rossyanin ujęty jego dobrocią, znów mówił z przyjaźnią: „Szamilu! tybyś mógł zawrzyć korzystny pokój.“

— Nie! bom nie nasycił jeszcze méj zemsty.

— Cóż cię czeka za przyszłość?

— Ta złożona w ręku Boga.

— Uzyskałbyś przebaczenie i wysoki stopień w wojsku.

— Pocoż mam być niewolnikiem, kiedy tu sam carem jestem.

Po téj rozmowie bój się na nowo rozpoczął, z którego Górale wyszli jak zawsze zwycięsko. Szamil jest dzisiaj naczelnikiem wojujących Czerkiesów, nie odwagą wyniósł się nad innych, bo tam prawie każdy jest bohatyrem; lecz wyrósł nad drugich tą wyższością ducha, co jak orzeł wzlatuje po nad wszystkie ptaki, pełném skrzydłem pędzi przeciw nawałnicy, a przed tą jego śmiałością pioruny w chmurach stygną, żaden go nie dotknie. Opowiemy tu jeszcze, jakiemu to ludowi Szamil przewodzi.

Dwudziestu Czerkiesów zstępuje z gór, przebywa dwie rzeki wpław, wpada do Georgii i stawa pod miastem Tyflis. Właśnie wieczór zapadł; w mieście ruch ustał, gdzie niegdzie tylko pałasz po bruku zabrzęczy, głos żołnierzy moskiewskich się odezwie zmieniających warty, a potém rozlega się trzask karabinów i ciężkich kroków i znów cichość. Czerkiesowie ukryli konie, przemknęli się niepostrzeżeni wśród przednich straży, i dostali się do koszar napełnionych wojskiem. Kilka cięć zrobili yataganami, a każdy z żołnierzy stojących na warcie zasnął na wieki. Z hałasem już wpadli do izb sypialnych, zgasili światła, i kto im się nadwinął, z tego piersi wypadł krzyk przeraźliwy — okropny, bo już ostatni. Ale nie długo zabłysnęły we drzwiach światła, za niémi bagnety i przeraźliwe krzyki moskiewskie. Nie było ratunku, trzydziestu na jednego Czerkiesa. Lecz ci jeszcze broni nie składają, szczęśliwy ten, który choć jednego przeciwnika trupem położył, aż nakoniec okryci ranami, każdy topi yatagan w swojém sercu. Ale ich imiona dostały się wśród Górali i z poszanowaniem z ust do ust przechodzą, i są przykładem dla wzrastających pokoleń, jak Czerkies mszcząc się umiera.

---

## ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — „Roku 1844.“ wyszedł poszyt VIII. i zawiera: 1) O Irlandyi. 2) Włościanin polski ze względu historycznego, statystycznego i politycznego (dokończenie). 3) O uniwersytetach. 4) Wiadomości literackie.

---

W sprawozdaniu przedłożoném przez rząd krakowski na sejmie wyczytujemy: W zamku królewskim znaczne i kosztowne przedsięwzięto naprawy: w roku 1841., jedno skrzydło pałacu zamkowego oddano na koszary milicyi, drugie zaś niemniéj i dół zajmują ubodzy i dzieci pod opieką towarzystwa dobroczynności zostający; trzecie, czyli wschodnie skrzydło postanowił rząd uratować od zniszczenia i w obszernych salach jego dom pracy zamieścić. I w saméj rzeczy uratowano tę ogromną budowę od dalszego zniszczenia i z korzyścią skarbu do użytku przywiedziono. Jednakże do ukończenia całego dzieła pozostaje jeszcze danie belek w niektórych salach i wyrestaurowanie drugiego piętra pawilonu Kurzą stopą zwanego. Wyczyszczono studnię pałacową, na obszernym dziedzińcu od strony południowéj założono szkółkę plantacyjną i nowy kanał w długości 174 sążni, z potrzebnemi śluzami dla wszystkich zabudowań zamkowych zrobiono. Pozostaje jeszcze do uskutecznienia: reperacya i wzmocnienie murów ogrodowych od strony zachodniéj, baszt pomiędzy niémi i restauracya dawnego seminaryum.

George Sand wydała nową powieść, pod tytułem: Joanna. Sławna autorka nie zadowolniła tą razą czytających, lubo nie brak w téj powieści miejsc pojedyńczych prawdziwie pięknych a niekiedy porywających. Autorka wpadła na dziwny pomysł wystawienia rodzaju Joanny d'Arc naszych czasów. Dziewica czysta w uczuciach, pobożna a bardziéj jeszcze zabobonna, miłująca z zapałem ojczyznę, która się najsilniéj objawiała nienawiścią przeciw Anglikom, z ideami i miłością nowego świata, taką była wiejska dziewczyna imieniem Joanna, pilnująca trzody. Zasnęła ona na kamieniu Druidów, kiedy nadeszło trzech młodych paniczów i każdy z nich włożył jéj sztukę monety w rękę. Zbudzona, spostrzega pieniądze i myśli, że to sprawka czarów. Aby więc nie

popaść w moc złego, oddaje się opiece Matki Boskiéj, uczyniwszy ślub wiecznego panieństwa. W jéj okolicy krążyła powieść o ukrytych skarbach, które miały być tak wielkie, żeby wystarczyły na zbogacenie wszystkich ludzi i na uzbrojenie wojska, któreby Anglią upokorzyło. Przy opiece Matki Boskiéj umyśliła ona te skarby wynaleść. Spotyka znów owych trzech paniczów i wszyscy się w niéj zakochali, lecz ona dla nich była zimną, a niemogąc nakoniec uniknąć ich miłości, wyskakuje oknem z wieży i zabija się.

Pokazał się na niebie jak wiadomo kometa, który podług zdania astronomów mógłby ziemię niebezpieczeństwem zagrozić. Na dniu 24. Września będzie przechodził przez ekliptykę i zbliży się bardzo do ziemi, ale jednak na 146 stopni oddalony będzie, a zatém i tym razem jeszcze od komety niezginiemy.

Sławny pisarz Irwing Waschington, który jest teraz w Madrycie jako poseł stanów zjednoczonych, zwiedza Katalonią, aby dobrze poznać obyczaje i miejscowość téj prowincyi, bo właśnie w tym przedmiocie pisze powieść.

Wawerlej-bal odbył się niedawno w Londynie, a to w celu zebrania pieniędzy na pomnik Walter-Scotta. Zebrało się na ten bal 1400 osób, kadryli było trzydzieści i jeden, które przedstawiały znaczniejsze figury z romansów tegoż autora.

W Londynie co tylko wyszły w dwóch tomach: Pamiętniki księżniczki Babilońskiéj Maryi Teresy Asmar, która po dziwnych wypadkach zapędzona burzą do Anglii, żyła tamże z zasiłków od wyższéj arystokracyi. Ta księżniczka, w któréj charakterze jest wielkie podobieństwo z Betiną Arnim (znaną autorką niemiecką) była ośmnastém dzieckiem z rodzeństwa i urodziła się 1804. roku w namiocie przy ruinach Niniweh. Jéj rodzina pochodziła z Indii, ale już kilka generacyi temu, jak przeszła do chrześciaństwa. Ojciec księżniczki stracił po części swój majątek na stadniny, purpury, cienkie płótna i rozszerzanie chrześciaństwa. W jedenastym roku swego życia towarzyszyła ona swemu ojcu do Persyi, który tam miał kopalnią smaragdów, od niejakiego czasu zaniedbaną, chciał na teraz wydobywanie ich napowrót rozpocząć, lecz szach nie pozwolił. Zamysły wydania za mąż Maryi Teresy nie powiodły się także staremu księciu, bo ta odrazę do tego okazywała i postanowiła zostać apostołem niewieścim. Namówiła ona swego narzeczonego młodego księcia, aby został trapistą i żyje on jeszcze do tego czasu w klasztorze u stóp Libanu. Po śmierci baszy, który był tolerantem, zaczęto prześladować chrześcian w tych tam okolicach. Wtedy księżniczka tułała się z klasztoru do klasztoru, aż jéj się udało nakoniec założyć szkołę „dla uczonych kobiet“ przy ruinach Niniweh. Znalazła dwóch przyjaciół, którzy jéj w tém dopomagali i wkrótce zakład miał niemało uczennic. W tym samym czasie nie przestawała miewać kazań pod gołém niebem, nawracając niewiernych. Jéj pamiętniki w swojém opisywaniu zbliżają się bardzo do powieści „tysiąc nocy i jedna.“ Żeby dać o tém wyobrażenie czytelniczkom, przytaczamy, jak opisuje swój pobyt u żony paszy. „Mój ubiór był przepyszny: suknia złotem przetykana, krojem wschodnim otwarta na przodku, z obszernemi rękawami sięgającemi po za kolana, kibić ujęta w przepaskę, złotem haftowaną, pantaleony z karmazynowéj jedwabnéj materyi. Na ręku błyszczały manele z pozłacanego srebra, a na nogach miałam lekkie jedwabne złotem haftowane trzewiki. Turban z białego muslinu ze złotem na głowie i szal perski na ramionach uzupełniały mój ubior. Kiedym stanęła u drzwi domu, roztworzył mi stary eunuch i weszliśmy na dziedziniec wyłożony szlifowanym marmurem, który wyglądał jak jedna tafla zwierciadła. Nie małéj trzeba było zręczności, żeby przejść tę gładką, jak szkło posadzkę. Na środku dziedzińca stała z marmuru fontanna, a na bokakch poroztwierane budynki ładnie przyozdobione. Przez jeden z takich domków byłam wprowadzoną do salonu, który przechodził wszystko swoim przepychem i wykwintnością. Posadzka była zasłaną kosztownym perskim kobiercem, a poduszki pod ścianami z czerwonego i zielonego aksamitu złotem haftowane. Tutaj przyjęły mię naprzód trzy cudnéj urody georgijskie dziewczyny, których biała płeć jaśniała jak księżyc w pełni, nieporównanie piękne oczy czarne jak noc, podniesione jeszcze blaskiem kruczych włosów, na czole rozdzielonych i t. d.“

Trudno jest poznać życie prywatne Brazylianów, opowiada jeden z podróżujących, gdyż obcy rzadko znajduje wstęp do ich domów. Wszystko się u nich ogranicza na ceremonialném przyjęciu, nawet w Rio-Janeiro, gdzie są towarzystwa, do których kobiety przypuszczane bywają; bo na wsi można tygodniami w domu bawić, niewidząc żony ani córek gospodarza. Brazylianki mniéj mają wolności, niż kobiety na wschodzie. Po części oddając się zatrudnieniom materyalnym, przesiadają w gronie swych niewolnic. Twierdzą, iż w ich życiu od niejakiego czasu zachodzą odmiany, i że nawet niektóre z nich już czytać umieją; jeżeli tak jest, pewno innych książek nie czytają, jak nabożne. Wydają je za mąż bardzo wcześnie, ich wdzięki nikną nadzwyczaj prędko, a mężowie zajmują się Mulatkami albo Murzynkami. Małżeństwo jest tam

czystą spekulacyą. Nieraz napotyka się kilkonastoletnia żona w gronie ośmiorga dzieci, z których matką jest tylko jednego; reszta są dzieci adoptowane jéj męża, które wspólnie w swoim domu wychowuje. Najwięcéj Brazylianów nie żeni się wcale, uważając małżeństwo ciężarem i ograniczeniem. Można duży kawał kraju przejechać, a ledwie się kilka małżeństw napotka. Są tak okrutni ojcowie, iż swoje własne dzieci, których matki były niewolnicami, uważają za niewolników, i po śmierci ojców bywają sprzedawani jak inni.

Oburzający obraz skreśla ten sam podróżny o sprawiedliwości brazylskiéj. Sędziowie dają się bezczelnie przekupywać, zwykle więc ubogi bywa karany. W Para uwięziono zabójcę, a że rodzina zabitego wszelkich starań dołożyła, miał więc wyrok zapaśdź, kiedy obroniony się decyduje, iż wyzna prawdę sędziemu, a przez to udowodni swoją niewinność. Tymczasem ugodził on się z prezesem sądu na 150 talarów, jeżeli ten zawyrokuje, że jest niewinny. Wszystko poszło podług układu, zabójcę wypuszczono, ale ten prezesowi umówionéj summy nie wypłacił. Po kilku miesiącach dowiaduje się ten ostatni, iż ów zabójca miał na składzie towary u pewnego kupca, z całą więc bezczelnością żąda pieniędzy, i opowiada powody, z których mu się należały. — Drugi przypadek taki: kupiec Abron, który znaczne interesa handlowe prowadził w Belmont, wygadał się przed bratem swéj kochanki, że ma znaczną summę pieniędzy w gotowiznie. Wkrótce ów brat kochanki zabił kupca; sąd wmięszał się w tę rzecz, ale niedługo uspokoiło się wszystko, bo morderca podzielił się z sędzią zabranemi pieniędzmi. Tymczasem bratunek zabitego przyjechał do Belmont, w myśli dziedziczenia spadku. Poszedł on do sędziego i nastawał o wydanie niesprzedanych jeszcze towarów. Lecz sędzia mu odpowiedział: „pan wiesz jak się powiodło stryjowi, radzę więc być cicho, jeżeli chcesz podobnego losu uniknąć.“ Przelękniony bratunek wyrzekł się całéj sukcessyi, bo był przekonany, żeby groźbę spełniono.

## MODY.

Paryż, dnia 4. Września 1844.

Mimo spóźnionéj pory latowéj, świat elegancki nie przestaje myśleć o modach. Po części rozjechał on się na wsie lub po wodach i tam toczy koło nowych pomysłów do ubrania.

U wód ranne ubranie długo się przeciąga. Kiedy piękne kąpiące się wstawszy, roztwierają okna, żeby użyć świeżego powietrza, są ubrane zwykle w kaftaniczki białe, krojem rzymskim, obrzucone trzy razy falbankami, przewiązane przepaską; lub też zarzucają płaszczyki, krojem z siedemnastego wieku, z zupełnie wąskiemi rękawami, obszyte koronką.

Na promenady biorą suknie bareżowe na jednostajném tle rzucane w kwiateczki, do tego mantyle à la Fontange z muślinu w deseń, obszyte koronką lub falbaną. Kapelusz krepowy lub z tiul-ilusion.

Na obiady stroją się najwięcéj w suknie z jedwabnego muślinu różowe lub białe, lilla lub fiołkowe zmięszane z białém, obszyte takąż samą materyą lub wstążkami fałdowanemi. Do tych sukien biorą długie szale z indyjskiego muślinu, w koło haftowane i obrzucone wąską koroneczką. — Kapelusze ryżowe z długiém marabout lub z wieńcem rozmaitych kwiateczków.

Na wieczory biorą suknie w kształcie tuniki z białéj lub różowéj śklniącéj lekkiéj materyi; spodnia suknia z tarlatanu lub indyjskiego muślinu, dłuższa na dłoń niż tunika i haftowana u dołu. Uzupełnia ten strój girlanda z kwiatów na głowie.

Drugi ubiór wieczorny. Suknia otwarta z przodu z ciężkiéj jedwabnéj materyi, obszyta fałdowaną wstążką, również ugarnirowane rękawy i stanik; spodnia suknia z białego muślinu, haftowana. Czepeczek koronkowy z kwiatkami. — Szal koronkowy i staroświecki wachlarz.

Młode damy ubierają się także na wieczory w świeże kwiaty, które zerwały na rannéj przechadzce.

Na jesień już w magazynach pokazują nowe odziewki. Między innemi szale multańskie z aksamitu, kaszemiru i atłasu, takie same jak latem z koronek noszono. Także rękawiczki aksamitne bez palcy i z palcami.

Ubiór włosów niema ściśléj mody, każda kobieta z lepszym smakiem układa je podług twarzy. Uważano jednak, że brunetom przypada lepiéj układ na sposób klasyczny, to jest: gładko uczesane włosy na lica. Blondynowe zaś loki angielskie, czyli tak nazwane à la Sevignée, do tego gazy, blondyny, wstążki, wszystko delikatne i przezroczyste — kolory, biały, niebieski i różowy. Dla brunetek, aksamit i atłas; kolory żywe i wybijające, jako to: ponsowy, szafirowy i pomarańczowy. Pod naszém północném niebem muszą kolory zastępować słońce, aby przy nich piękność czarnych oczu tém żywiéj jaśniała.

## Objaśnienie ryciny.

1. Suknia z tarlatanu, z podwójną powłoką, haftowana jedwabiami i plecionkami ze słomy obszyta. Na głowie girlanda z róż z kłosami.
2. Kapelusz tiulowy nawłóczony, z bukietem róż; mantyla z różowéj krepy różowém podbita, obszyta wstążką fałdowaną; szlafroczek ze śklniącéj kitajki.
3. Popielaty kapelusz, czarny krawat, biała pikowa westka; krótki surdut z maleńkiemi guzikami, pantaleony nankinowe.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*